

WESOŁY KURJEREK

ILLUSTROWANY,

wychodzi dwa razy na miesiąc: 1. i 15.

Wszyscy prenumeratorowie **Gońca i Iskry**, czasopisma *ilustrowanego*, wychodzącego we Lwowie otrzymują **Wesołego Kurjerka** zupełnie **bezpłatnie**. Również otrzymują *bezpłatnie* **Dodatki**. Prenumerata **Gońca i Iskry** wynosi kwartalnie 2 ztr. wraz z **Wesołym Kurjerkiem**.

Adres Redakcji i Administracji: we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.

Wyjaśnił...



- A ty zkąd wziął „Życie Kościuski“ — ha?...
- Znalazłem.
- Gdzie?
- Na ziemi.
- Na czyjej ziemi?
- Na swojej...

W moskiewskim salonie.



- Ten Kościuszko, to był, jednak, wielki człowiek. U nas takich nie ma...
- A co oniby u nas robili? U nas nie ma komu, nie ma gdzie i nie mają po co rodzić się wielej ludzie, bo u nas małymi robi się wszystko i wielkich się, nawet, powywiesza..

Sto lat!...

Sto lat, jak w Polsce słońce zajaśniało —
I sto lat mija, jak potem zagasło...
Słońce, co weszło, tyle życia dało,
Ze się tem życiem stado wrogów pasło!...
Gdyby zabrakło polskiej krwi na ziemi,
To głódby nastał wśród naszych siepaczy,
I gryźliby się zębami własnymi!...
Czy Bóg tym ludziom kiedyś tam prze-
[baczy,
Ze Boga w sercu mordują człowieka —
To Bóg wie jeden... lecz zbliża się chwila

Znów wschodu słońca... Czarna noc ucie-
[ka,
A z nią gromady oprawców ludzkości
Z trwogą się kryją przed słońcem miłości!...
Sto lat!... któż większe wyrzekł potem
[słowo?
I kto je ochrzcił krwią gorącą, laszą?...
Nikt! tylko został, co już wyrósł głową
Nad wieki — Kościuszko po nad Polską
[naszą!...
Wesoły.

Habemus directoram...

Przybyłski może powiedzieć: veni, vidi
vici!...
Zrobiło się to wszystko elektrycznie.
Mamy więc dyrektora lwowskiego teatru
z krwi i kości autora i literata — i to takiego,
który pogodnie patrzy w serce społeczeństwa...
A pogody nam trzeba, bo błota dużo
i mokro jest.
Na stanowisku dyrektora teatru lwow-
skiego, są dwie kwestje do załatwienia:

G o g o .

Trzeba mieć prawo być dyrektorem teatru — i trzeba umieć nim być. Przybylski prawo ma całkowite, bez żadnych zastrzeżeń. Czy potrafi być takim dyrektorem, jakim powinien być — to będzie zależało przeważnie od niego, a po części od nas — atramentowych apostołów, którym nie raz »listek róży złożony na dwoje, dolega«... Popierać go trzeba ze wszystkich sił naszych — wszelkie animozje osobiste na bok!...

Kto inaczej myśli, nie widzi dalej, jak koniec własnego nosa...

Przybylskiego nazywają popularnie Zyziem — to jest jego przydomek, to jest jego herb literacki — to wyraz sympatii, jaką otacza opinia publiczna autora *Wicka i Wacka*.

Wyznajemy szczerze — wierzymy w pomyslną przyszłość dyrektorską Zyzia.

Dlaczego?

Bo ma talent, umie żyć z ludźmi, których obserwuje dobrze, choć niby nie patrzy i nie uważa... Zna on lepiej ludzi, jak się zdaje nie jednemu od ciężkich kwestyj społecznych i słodkich konfitur artystycznych... Dobrym jest z natury, szlachetnym bez afektacji, rycerskim bez cienia zarozumiałości — pracować będzie szczerze, z całym uczciwym patriotyzmem bez frazesów na gębie i... bez kontusza papuziego na plecach...

Z Zyzia będzie dzielny dyrektor — wierzymy w to!...

A skoro wierzymy — to:

Niech mu się droga dyrektorska złotem i kwiatami ścięła, a z tego niech będzie chwała i pożytek sztuce i literaturze polskiej...

Wesoły.

Dwa serca.

Nowela w stylu nowelistek.

Była noc. Deszcz padał, więc na ulicy było błoto. Niektórzy przechodnie szli pod parasolami, inni bez parasoli, a jeszcze inni jechali dorożkami

Maurycy był pięknym młodzieńcem. Czarowne miał oczy.

Ojciec jego należał do miejscowej arystokracji i nosił szary, angielskim krojem paletot, zaś matka Maurycyego, jeszcze blondynka, od lat kilku mieszkała przy ul. Trzeciego Maja.

Horyzont zaczął się wypogadzać, rzekłbyś, że magiczna jakaś siła, wstrzymała potoki lejące z góry do dołu.

— Ach jakże kocham Helenę!

Tak mówił Maurycy, on to bowiem był i uśmiechał się, podczas gdy zegar na pobliskiej wierzy ponuro wydzwonił godzinę duchów, godzinę dwunastą.

W gabinecie rezeda roztaczała czarowne zapachy, ponieważ jej właściciel tulił do serca czarowny bilecik, po którym znać było, iż zawierał jedyny wyraz »kocham«, napisany białą rączką ślicznej blondynki.

Był to czwartek...

Dwa serca rozdzielono kilkoma ulicami, spoczęły w moralnym uścisku.

Astoria.

Poskutkowało.

Że ciągle tylko czytają romanse, Póty kobietom prawiono morały, Aż wreszcie całkiem zmieniły się szanse, Gdy do pisania panie się zabrały.

Miał gagatek powóz śliczny,
U powozu koła z gumy,
A że huczny pędził żywot,
Więc go znały liczne tłumy.
Minał roczek jeden, drugi,
Wśród hulanki i rozkoszy
No i spostrzegł nagle gogo,
Że za wiele wsiądko groszy;
Wierzytelom oddał powóz —
Kupił bicykl ten na gumie,
Lecz — rzecz dziwna — coraz rzadziej
Pokazywał jął się w tłumie,
Wreszcie, kryzys przyszła sroga,
I gagatek z żalem pono,
Oddał bicykl, bo wierzytel
Jako wampir ssał mu łono.
Lecz choć zbrakło kół gumowych
I choć żydzi wzięli grosze,
W towarzystwie jeszcze siedzi,
Gdyż miast butów — ma kalosze.

Wrzosek.

Gorzkie ziarna prawdy, poetów i myślicieli.

Niemcy — dziwny naród. Gonią ciągle za głębokimi myślami i ideami, a szukają tam, gdzie ich nie ma — dla tego robią sobie życie daleko cięższe, aniżeli ono jest w rzeczywistości

(Gete)

Umysłowi niemieckiemu brakuje francuskiej żywości, przenikliwego instynktu anglika i śmiałości amerykańczaka, ale niemiec z pewnym uporem ciągle zapytuje siebie samego: dlaczego? co też jest w głowie tego człowieka?

(Gete.)

Nigdzie nie znajdziecie takiego typu ludzkiego z wiarą w siebie, a ze zdumiewającą i głupią niewiarą do wszystkich ludzi, oprócz siebie, do wszystkich stronictw, oprócz swojego, jak w Anglii.

(Tekeray.)

Dwóch ludzi jednej narodowości, gdy się spotkają w obcym domu, znajdują przedmiot do rozmowy — ale, gdy się spotka dwóch anglików, to, niezawodnie, każdy podejdzie do innego okna i będą zawzięcie milczeli.

(Dzonson.)

Można zwyciężyć francuską dumę, bo ona próżna — ale dumy anglika nie okiełznasz, bo się opiera na pieniądzech.

(Gete.)

Anglik nie obawia się, że się nie będzie podobał. On spaceruje, je, pije, goli się, ubiera, cierpi, na swój własny, oryginalny sposób — nigdy drugim nie przeszkadza i nie dokucza, a nienawidzi życiowych tchórzów, którzy nie mogą się zdobyć na szczerą odpowiedź tak, albo nie.

(Emerson.)

Najbardziej francuskim rysem charakterystycznym, jest francuska próżność, która bezustannie wrzeszczy o równości.

(Balzak)

Dowcipkowanie jest charakterystyczną cechą francuskiego charakteru. Francuzi dowcipkują w domu i podczas bitwy. Żart

jest u nich najbardziej interesującym elementem rozmowy. Żart uprawiają francuzi nawet na katedrze.

(Czerutti.)

Dlaczego u francuzów nie ma historii, tylko same pamiętniki? Dlatego, że są próżni, więc piszący historię nie mógłby pisać o sobie.

(Chatabriand.)

Już nie raz zauważono, że francuzi są daleko więcej głębokomyślni, jak się wydają, a hiszpanie wydają się głębsi, jak są rzeczywiście.

(Bakon.)

Niemców nie może nic rozweselić, ani gry, ani uczuciowe pobudki, tylko — piwo.

(Luter.)

U germanów nie jest rzeczą wstydliwą pić przez dwadzieścia cztery godzin z rzędu.

(Tacyt.)

Duch hiszpanów pozbawiony jest przenikliwości — literackie utwory, mają humor, ale nie mają zdrowego rozsądku.

Kolridz.

Z motywów brukowych.

Stała sobie Marjanna
Przy studni —
I stał Jędrak, co szewiectwem
Się trudni.

I tak rzecze Marjanna
Do Jędrka:
— Nie udawaj jeno waćpan
Mi mędrka.

Ale lepiej muszę gęgnąć
Waćpanu,
Żebyś zaniósł kubeł wody
Z pod kranu.

A ou na to rzecze dziewce:
— O wa ei!
To mi panna za mą miłość
Tyż płaci...

Jeden ciężar ciężkiem serce
Już peha mi,
Żebym drugi jeszcze dźwigał
Ręcami.

Nie naturalniejszego.

— Czy można z cielęciny zrobić wólowinę?

— Można.

— Jakim sposobem?

— Pozostawić ją tak długo, aż się zestarzeje.

R a c j a .

— Cóż tak mizernie wyglądasz Jasiu?

— Ach wyobraź sobie, byłem aż u dwóch doktorów: jeden zabronił mi pić wódkę, a drugi piwo.

— No to dobrze! Pierwszy ci zabrania wódki — to pij piwo; drugi zabrania piwa, — to pij wódkę.

— A prawda! że też ja się tego od razu nie domyśliłem.

Powrót »taty«.

Pójdźcie żydkowie, pójdźcie szybkim krokiem
Za miasto do Koziejgórki,
Gdzie czeka pachciarz z sądowym wyrokiem,
Czekają Mojsze i Szmulki.

Dziedzic nie wraca — ranki i wieczory,
Służba go czeka we trwodze,
Puste stodoły, śpichlerze, obory
I pełno żydów na drodze.

Idą Abramki, Ickowie i Szmulki
I krzyczą wszyscy zawzięcie,
Że egzekutor już jedzie do Górki,
By zrobić sekwestr, zajęcie.

Siadł za stolikiem, rozkłada papiery;
Żydki się cisną dokoła,
Słyszają: dwadzieścia tysięcy i cztery,
Kto daje więcej? — zawoła.

W tem słyhać turkot i bryczka się toczy,
Znany kasztanek na przedzie...
Ekonom, służba wytrzeszczają oczy:
— Dziedzic, ach, dziedzic nasz jedzie!

Ter sobie gada i ten sobie gada...
— Ha, jak się macie ludziska?
Dziedzic na ziemię już z bryczki zesiada:
— A tam jest moja waliska.

Wtem zczerwieniła twarz jego wciąż blada,
Jakby po jakim zakłęciu,
Bryczkę otacza żydostwa gromada,
Było ich najmniej z dziesięciu.

Brody ich rude z długimi pejsami
I w sukniach, jak noszą Persy...
Krzyczą i wrzeszczą, machają rękami,
A w rękach weksle, rewersy.

Ten dwa tysiące, a ten cztery żąda,
Tamten kilkaset chce dostać;
Dziedzic ze strachu dokoła spogląda
I widzi nową znów postać.

W tem, stójcie, stójcie! — krzyknie sekwe-
[strator
I spędza żydów za płoty —
Z nosem na kwintę idzie propinator,
Pachciarz i inne kapoty.

Dziedzic dziękuje, komornik odrzeczce:
— Nie dziękuj, wyznam ci szczerze,
Pierwszym własność twą sprzedał człowiecze,
Gdyż w wypłacalność nie wierzę.

Weksle sprawiły, że masz dziś tak mało,
Darząc wolnością, złem zdrowiem,
Im więc podziękuj za to, co się stało,
A jak się stało — opowiem.

— Zdawna już słysząc o nieobecności
Pachciarz i inni żydkowie,
Podali skargę o swe należności,
Które przynali sędziowie.

Więc wkrótce do mnie, było to w zapusty,
Przyszli ci wszyscy ze sprawą;
Z początku tylko porwał mnie śmiech pusty,
A potem litość z obawą.

Czym ja z mą sumą już nie wykluczony,
A czas do tego zbyt krótki...
Wszak ja mam żonę, a u mojej żony
Jest twój rewersik malutki.

Jedź więc z powrotem, ja do miasta muszę,
Wy, czeladź, żegnajcie pana,
Bo wam przysięgam na mą własną duszę,
Ze Kozia Górka sprzedana.

Fik-Mik.

Człowiek zasad na święconem.

— A, kochany pan Krzykacki!... Jakże mi przyjemnie, że będę mógł się z panem jajkiem podzielić...

— Przyznam się panu, że ja się dzielić z nikim nie lubię. Jeżeli mogę coś mieć, wolę to zatrzymać dla siebie...

— No, ale w każdym razie będziemy mogli złożyć sobie wzajemne życzenia.

— Życzenia, mój panie, to są perfumy zaprawne asafoetidą.

— Ale przecież zwyczaj każe...

— Zwyczaj? Jako postępowiec uważam za głupie wszystkie zwyczaje, z wyjątkiem zwyczaju jedzenia.

— Przynajmniej znaleźliśmy grunt do porozumienia się. Bo widzi pan, my konserwatyści... Co pan dobrodziej pozwoli?... Może zaczniemy od wódeczki?

— Jako pozytywista, jestem przede wszystkim systematycznym. Dla tego też nie omijam nigdy wódki przed jedzeniem. tak jak, wydając dzieło, nie zapomniałbym napisać przedmowy.

— Bardzo słusznie... Zdrowie pana dobrodziej! No, ale czym zakąsimy?

— Jestem liberatem, mogę więc panu pozostawić zupełną wolność wyboru pod tym względem.

— Może zaczniemy od prosiaczka?

— Dobrze. — Jako demokrat, czuję zawsze sympatię dla upośledzonych...

— Proponowałbym powtórzyć kolejkę.

— Niech i tak będzie. Do towarzystwa wstrzeźliwości nie należę, zaś moje polityczne i społeczne przekonania, nie stawiają mi żadnych przeszkód na drodze do zadośćuczynienia propozycji pańskiej.

— Może pan dobrodziej cielęcinki?

— Z radykalnego punktu widzenia, wolałbym za jednym zamachem zburzyć gmach głodu, przeto zjadłbym coś podstawowego.

— Ma pan rację... A czym zakropimy... Reńskie, czy węgierskie?

— Wszystko mi jedno; nie jestem zwolennikiem systemu protekcyjnego.

— Wie pan co?... Omne trinum perfectum — powtórzymy kolejkę...

— Mogę, jestem bowiem zdecydowanym dekadentem...

* * *

— Jednak, uwaa... pan.. zaczynam się przekonywać... uwaa... pan, że konserwatyzm ma swoje dobre strony... Ma.. uwaa.. pan... jak Boga kocham. ma...

— Kochany panie.. pozwól mi swoją dłoń uściśnąć...

— Owszem... Ale pomimo tego... uwaa... pan... jestem postępowcem, choć w gruncie uwaa pan... trochę konserwatystą...

— Drogi panie!... A może jeszcze winka?

— Mogę, mogę... i owszem. Uwaa pan... jestem... uwaa... pan... skończonym dekadentem...

M y ś l i.

Rumak wspaniały, gdy czuje ostrogę,
To żwir pustyni nogą chyżo miecie,
I choćby ducha wyzionął miał, pędzi
Jak wichr, co piaski gorejące niesie,
Człowiek leniwy lęka się roboty,
I jak wół gruby ruszać się nie może,
I nie podniesie go ostroga myśli,
Ni bat poczucia własnych obowiązków.

Sowa, co w nocy na łowy wylata
Trapi na polu igrające myszy.
Znam miasto, w którym postrojone sowy
Z nadejściem nocy łapią głupich dudków.
I duży gawron nie ujdzie ich szponów,
I szpak, co jeszcze żółto ma przy dziobie.
Hej miasto zacne, czemuś wychowało
Taką gromadę owych sów drapieżnych.

Nieznany filozof.

W własnej obronie.

Otrzymujemy następujący list:

Wielmożni Pan Redaktorze od tego Kurjerek, co się wun nazywa wesoły, a nie von Lemberg.

Z pszeproszeniem Jego godności, co te żydki od Zionu taki gwałt robią i ksikną co im bardzo źle na świat.

Ja sze bardzo dzywuje na takie durne gadanie, na pszikład mój stare tate handlował sobie ze skurkiem od zajonc a ja jego syn Lejbe jestem już pan arendarz na Wielgie Wulki i mnie pani dzedzyczka mówi już pan kupiec, a mój najstarszy bachór, Lejzorek, to wun sze nazywa Ludwikuś, jak najstarszy pan cz od pani dzedziczki, to wun we Lwowi nazywa się pan mecenas i z jednym wielmożnym panem graf chodzi za ręką na śniadanie do taki sklep gdzie jest nawet te ślimaki, co sze je panowie jedzą.

Nu a gdzie ta ksiwda?

A tate od megojo śwagier, to ja powiem Wpanu pod sekret, to wun czasem jak noc bardzo ciemnowała chodzował handlować cudzem kobyłem co sobie psipadkiem zabłądzi ze stajni do las. A dżysz jemu syn, a fajny pu-ryc, mieszkuje wi Lwowi am dritten Mai z karetem, jest wielki akcyznik na kolej i myśli sze ożeniać z hrabiankiem.

Nu, a gdzie ta ksiwda?

Coby ja tak był zdruf. Klaniam od Wielmożny Pan z wielgiem prośbem, aby Pan tym fin Zion dobrze nagadał co stary Lejba myśli.

Kłaniam

Lejba.

Miał nos.

Erudyta wygadany,
Choć z przeszłością nieco mglista,
W dobrych kółkach przyjmowany,
Gdyż się mienił finansistą,
Wkrótce jednak wszczęto krzyki,
Że na woltach zbija trzos —
Czmychnął wnet do Ameryki...
Miał nos!

Był on niegdyś wielkim panem
I używał co się zowie,
W gabinetach z fortepianem,
Gdzie zostawił pieniądze, zdrowie.
Dziś na twarzy coś brakuje,
Cały jakby zwiędły kłos...
A nie jeden zapytuje:

— Gdzie nos?

Fragment z ballady.

Dumna Magda dłoń przykładą
Do tędnącego żalem serca:
— Ha, Franciszek kocha inną...
Wiarołomny przeniewierca!

Tu odeszła do ogrodu,
Czuając w duszy żal i pustki,
I otarła łzy kułakiem,
W praniu bowiem były chustki.
Psik.

I s k i e r k i.

Dobra rada. — Czegoś taki zadumany?
— Powiadam ci myślę ciągle...
— Daj pokój z myśleniem, nie do swojej rzeczy się bierzesz.

Z polowania. — Ho! ho! pan dobrodziej z polowania! I co też pan dobrodziej upolował?

— Dziesięć złr. kary, bom wlaź na cudzy grunt.

Sam nasam. — Jestem pewny, że pani polubi mego brata, gdy go pani pozna.

— Nie wątpię, ani na chwilę. Słyszałam, że się panowie bardzo różnicie między sobą.

Na ulicy. — Żyjesz!?

— A żyję. Całe ozdrowienie zawdzięczam swemu doktorowi.

— Wyleczył cię?

— Nie, sam umarł.

Odcieła się. — Lubię bardzo mądre kobiety, ale nigdy nie zaślubiłbym żadnej, któraby była mądrzejszą odemnie.

— A to dlatego pan jesteś dotąd bezzennym!?

Proch bezdymny. — Mamo, co to jest proch bezdymny?

— Proch bezdymny — duszko — to tak, jak młoda panienska bez fortepianu.

Anatom. — Jak się wam widzi Wojciechu, co jest w człowieku we środku?

— Rozmaicie: czasem piwo, czasem wódka, a często i nic, jak nie ma pieniędzy, a Mordko nie skredytuje.

Złośliwa. — Mam; moja pani, odgadują, co kto myśli o mnie?

— Ach, to musi być panu bardzo nieprzyjemnie.

Jeszcze raz. — Proszę pana profesora, Staś mnie szczypie.

— Ja tego nie widzę.

— Stasiu uszczypnij mnie jeszcze raz, żeby pan profesor mógł zobaczyć.

W buduarze. — Uwierzysz pan, panie Kamilu, że połowa moich znajomych przypuszcza, że ja się maluję?

— Wierzę — bo druga połowa wie o tem na pewno.

Na końcu języczka. — Panie... panie... ach, jakże panu na imię? Mam pana na końcu języka...

— O panno Zofjo, jakaś pani dobra, co to za rozkosz dla mnie być na koniuszku pani języczka... — przedaj mnie z niego spędzą.

W moskiewskim domu.



— Co te polaki wyrabiają z tym Kościuszką!...

— A on jeszcze żyje?...

— A żyje... Te wielkie polaki, to nigdy nie umierają.. Tamci z grobów dla nas straszniejsi, jak ci na ziemi... Tych można do turmy, w Sybir, na szubienicę — nu, a tych wielkich z grobu, sam car się boi, a cała Rosja im nie poradzi!...

Mądry Ieek.

— Patrzaj Ieku, jaki mój pies mądry, on wszystko to robi, co ja robię...

— Ny to ja idę.

— A to dlaczego?

— Bo un jeszcze będzie chciał odemnie pozyczyć pieniądze.

Nadesłane.

Największy galicyjski

**skład farb i materiałów aptecznych
we Lwowie, w Grand Hotelu.**

W tych dniach zyskało miasto nasze nowy handel urządzony w sposób, jaki tylko w pierwszorzędnym miastach europejskich spotkać można. Stworzył go nasz młody, a jednak już nietylko w naszym mieście, ale i w całym kraju znany zaszczytnie przemysłowiec i kupiec, magister farmacji: *Leopold Lityński*. Jego olbrzymi skład farb i materiałów aptecznych, urządzony na prawdziwie europejską skalę w nowo zbudowanym „Grand Hotelu“, obok Kasy Oszczędności, sprawia imponujące wrażenie. To też tłumy publiczności oblegają wspaniałą wystawę przez dzień cały, a zwłaszcza wieczorem, gdy jeszcze potoki elektrycznego światła, noc na dzień zamieniają i pozwalają wejrzeć nawet z ulicy w odległą głębię tego olbrzymiego magazynu. Wejźmy do środka. W siedmiu obszernych salach nagromadzone są prawdziwe skarby sztuki farbowej i wiedzy aptekarskiej a oprócz tego przeróżne niezbędne artykuły codziennego życia biurowe, domowe i gospodarskie. *Dział aptekarski* urządzony jest również na wielką skalę tak, aby mógł zaspokoić wszelkie potrzeby stolicy i aptek prowincjonalnych. A przytem całe urządzenie odpowiada najwybredniejszym wymogom nowoczesnego komfortu kupieckiego. *Szczególnie* dział farb i przyborów artystycznych umieszczony zaraz w pierwszej sali, jest przedmiotem powszechnego podziwu. Bogactwo z elegancją podały tu sobie ręce i stworzyły prawdziwy gabinet artystyczny, prawdziwe atelier malarskie, wszechstronnie zaopatrzone.

Przeszedłszy następnie sale, mieszczące w sobie składy artykułów farbowych i gospo-

darskich, jako też droguerję, wchodzimy do olbrzymiego magazynu, gdzie nagromadzenie przeróżnych towarów przybiera piramidalne kształty i wzbudza zdumienie i cześć dla pracy ludzkiej. Wielka żelazna winda blokowa łączy te magazyny z siedmiu oddziałami piwnie pod sklepem się znajdujących i również elektrycznie oświetlonych. Ruch tu ogromny, wiele ludzi musi tu ciągle pracować, aby przygotować materiały do handlu, gdzie znowu cała rzesza pomocników handlowych oczekuje skinienia gości aby natychmiast, rzetelnie i uczciwie usłużyć. W ma gazynie tym i w piwnicach pomieściło się wszystko, co dotychczas właściciel w rozmaitych miejscach posiadał i dziś tylko jeszcze w hotelu angielskim ma również swoje składy. Lecz nie na tem koniec. Za magazynami jest osobny pokój dla buchhalterji, a dalej jeszcze obszerne laboratorium wszelkiego rodzaju piecami i maszynami zaopatrzone — i ekspedyt dla zamówień prowincjonalnych. Prawdziwie wdzięcznym trzeba być panu Lityńskiemu, iż miasto nasze wzbogacił takim handlem, z którego dotychczas u nas tylko obcy wyżytkiwacze ciągnęli korzyści, a choć u nas w pierze porośli, zawsze, jednak, pozostali nam wrogimi i nieraz z krzyżacką efrontierją. Dla tego powinno być obowiązkiem wszystkich, popierać *swojskich kupców*, zwłaszcza takich, którzy jak pan Lityński, pomimo niesłychanego nakładu nie podnieśli wcale, lecz raczej obniżyli ceny. W końcu nadmieniamy, że dawna droguerja p. Lityńskiego przy ul. Kopernika 1 2 pozostanie i nadal na usługi publiczności, jako „pierwsza filia składu farb“.

6077 1-1

Dentysta

Wszech nauk lekarskich

Dr. Bogumił Bienkowski

po ukończeniu specjalnych studiów w instytucie odontologicznym w Berlinie i odbyciu podróży naukowych do Halli nad Saalą i Lipska

ordynuje od 9. do 1. i od 3. do 6.

ulica Trzeciego Maja

dom dawniej Tennera, 6058 4-2

lub ulica Kościuszkii 1. 3.